TANGO

EWA CIELESZ

TANGO



AXIS MUNDI

Copyright © 2021 by Ewa Cielesz
Copyright for this edition © 2021 by Axis Mundi

REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska
REDAKCJA I KOREKTA: Agnieszka Sabak
KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Borys Borowski
SKŁAD: Positive Studio
DRUK: Zakłady Graficzne Taurus Roszkowscy Sp. z o.o.

WYDANIE I

ISBN OPRAWA BR: 978-83-66451-11-7
EAN OPRAWA BR: 9788366451117
ISBN E-BOOK: 978-83-66451-12-4

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.



Uśmiecha się. Zaczynacie tańczyć, czujesz, jak prowadzi. Ma w sobie tyle pewności, że coraz rzadziej myślisz o własnych krokach. Jest dobrze. No, może zbyt mocno zaciska dłonie na twojej talii. Patrzysz mu w oczy, ale widzisz w nich aprobatę, więc w nią wierzysz. Ufasz mu. Przecież mówi, że chce jak najlepiej. I w oszołomieniu, za późno zauważasz, jak mocno otarły cię buty. Zaciskasz zęby, bo on wciąż tańczy, więc nie chcesz go rozczarować. Ale kiedy ból staje się nie do wytrzymania, masz ostatnią szansę, żeby uciec. I robisz to albo przestajesz czuć cokolwiek.

Anj Cielesz,
wyrwana z toksycznego związku

Mojej córce Anj dedykuję

ROZDZIAŁ I

Był wrzesień 1992 roku, gdy z radia popłynęła informacja o tragicznej śmierci profesora nauk humanistycznych Jacka Lisieckiego. Miałam wtedy dziewięć lat, ale pamiętam doskonale, że mama zacisnęła usta, jednym ruchem wyłączyła odbiornik i kazała mi dokończyć jajecznicę. Dlaczego to zapamiętałam? Ponieważ nosiłam to samo, co on, nazwisko, choć moja mama nazywała się Garden. Dorota Garden. Kilka dni później poinformowała mnie, iż Jacek Lisiecki był moim ojcem, którego nie było mi dane kiedykolwiek spotkać. Pewnie dlatego że mama była jego studentką, a on miał już żonę i syna z tamtego związku. Córki jednak się nie wyparł i w moim akcie urodzenia figurowało jak wół jego nazwisko, a na koncie matki raz w miesiącu pojawiała się niewygórowana kwota na utrzymanie nieślubnego dziecka. Mama nigdy nie walczyła o nic dla siebie, ale dla ogólnie przyjętych zasad dałaby sobie ściąć głowę. Dlatego po tej dramatycznej wiadomości wygrzebała z szuflady dokumenty i udała się z nimi do Antoniny Lisieckiej, żony mojego ojca. Kobieta mieszkała w okazałej willi i bardzo ją zdenerwowało żądanie mamy, aby podzieliła się ze mną majątkiem. Sprawa znalazła się oczywiście w sądzie, gdzie za jego wyrokiem, zgodnie z odpowiednim artykułem Kodeksu cywilnego, stałam się właścicielką jednej czwartej dóbr należących do mojego ojca. Antonina Lisiecka nie zamierzała rzecz jasna wpuszczać mnie na salony, ustalono

więc, że otrzymam w spadku mały domek letniskowy z kawałkiem ziemi liczącym nie więcej niż sto metrów kwadratowych, nad jeziorem Dadaj, w regionie warmińsko-mazurskim. Domek usytuowany na terenie nieczynnego i zapuszczonego ośrodka wypoczynkowego Lisieccy kupili okazyjnie, gdy instytucja, która w czasach Peerelu była właścicielem kilkunastu takich obiektów, pozbywała się mizernego wczasowiska. Reszta domków niszczała, ponieważ nie było amatorów na kupno usytuowanych na zarośniętym terenie budynków mocno wyeksploatowanych i nadszarpniętych zębem czasu. Lisieccy kupili, bo tu się poznali, tu rozkwitała ich miłość. Z czasem na skrawku opustoszałego obszaru wycięto drzewa i postawiono pawilon kolonijny dla młodych sportowców. Zarówno Klub Sportowy, jak i w pewnym stopniu my, musieliśmy wnosić coroczne opłaty na rzecz stróża, który poza sezonem opiekował się całym terenem. Trafić tam, klucząc leśnymi ścieżkami, było niezwykle trudno, mimo to błądziłyśmy każdego roku, by spędzić w opuszczonym ośrodku kolejne lato, ponieważ nie było nas stać na bardziej wykwintne wakacje. Prócz nas przyjeżdżali tam jedynie uczestnicy obozów karate. Z nudów kręciłam się przy nich, więc dla zabawy uczyli mnie chwytów. Odtąd nazwy Uchi, Age, Ushiro i inne, nie były mi obce, a sztukę walki opanowałam w takim stopniu, że mogłam od biedy obronić się przed potencjalnym napastnikiem. Mama w tym czasie pławiła się samotnie w słońcu na chwiejnym, krzywym molo, wcinającym się w coraz bardziej zarośnięte szuwarami jezioro. Po powrocie do domu zapisałam się do klubu i uczęszczałam na karate prawie przez cztery lata. Kiedy klub przeniesiono do innej dzielnicy, matka kategorycznie sprzeciwiła się, bym sama dojeżdżała tak daleko.

Moja matka była jedynym dzieckiem swoich rodziców i tak jak ja nigdy nie zaznała miłości ojca. Czasami, siedząc przy filiżance herbaty, odkrywała przede mną kulisy młodości swojej babci,

matki i własnego dzieciństwa. A nie były usłane różami. Prababcia Leokadia, jako osiemnastoletnia dziewczyna późną jesienią przemykała ulicami ogarniętego wojną Lublina, gdy nieoczekiwanie nadjechała okryta plandeką ciężarówka. Kiedy wysypali się z niej niemieccy żołnierze, niewielu przechodniom udało się umknąć spod kolb karabinów. Lodzia, której dom znajdował się tuż za rogiem, również została ujęta i osadzona na Majdanku. Odtąd miała zawsze pamiętać wrzaski niemieckich nadzorców, ludzkie jęki i odgłos martwo padających ciał. Nic dziwnego, skoro panujące tam warunki urągały podstawowym zasadom niezbędnym do przetrwania. Była to metoda eksterminacji więźniów, by w jak najkrótszym czasie uśmiercić ich jak najwięcej. Brak higieny, nieustannie dokuczający głód, niewyobrażalne zimno, takie że włosy przymarzały do ziemi, i zupa śmierci z zielska i trawy, po której wielu nie doczekało następnego poranka, sprawiały, że śmierć kosiła według założonego przez oprawców planu. Kto wie, czy i Lodzi nie spotkałby taki los, gdyby nie dobra jak chleb lekarka, która narażając własne życie, chroniła, jak umiała, młodziutką dziewczynę, zatrudniając ją w charakterze pomocy pielęgniarskiej. Tam właśnie Lodzia spotkała więźnia z Zamojszczyzny, który ocalał jedynie dlatego, że był elektrykiem. Niemcy nie pozbywali się fachowców, dopóki mogli ich wykorzystać. Bronek zajrzał na oddział szpitalny, by naprawić zerwane przewody, a wyszedł zauroczony zniewalającym spojrzeniem pięknej pielęgniarki. Odtąd wymykali się do siebie potajemnie pod osłoną nocy, by choć przez krótką chwilę być razem, szeptać o miłości i… planować ucieczkę. Zakochana dziewczyna zwierzyła się pewnego dnia lekarce, a ta czekała tylko na stosowną chwilę, by im pomóc. Moja matka nie potrafiła powiedzieć, jak to się stało, że jej dziadkowie wyjechali zapakowani w tłumoki szpitalnej bielizny przeznaczonej do pralni, dość, że obojgu udało się uciec i schronić w starej kamienicy, u przypadkowej rodziny. Jakaś kobieta udostępniła im miejsce

w piwnicy, zastrzegając, że o uciekinierach nic więcej nie chce wiedzieć. Tam, na zbutwiałym sienniku, młodzi przeżyli pierwszą upojną noc. Jak się okazało również ostatnią. Bronek, zostawiwszy w bezpiecznym miejscu ukochaną, ruszył do miasta, by zdobyć coś do jedzenia. Niestety, nigdy już nie wrócił. Lodzia do końca życia nie poznała prawdy i do końca życia czekała na ukochanego. Po trzech kolejnych dniach spędzonych o samej wodzie, w strachu i rozpaczy, opuściła zatęchłą piwnicę i wróciła do rodzinnego domu. Matka natychmiast odesłała ją do dalekiej kuzynki na wieś w obawie przed nalotem gestapo i ponownym uwięzieniem córki albo, co gorsze, jej śmiercią. Dopiero tam, w tej prawie nieznanej rodzinie, Lodzia zaznała jakiego takiego spokoju. Nie przestawała myśleć o Bronku, zwłaszcza wtedy, gdy po dwóch miesiącach była już pewna, że ich miłość zaowocowała ciążą. Moja babcia urodziła się pod okiem wiejskiej babiny, gdy syreny w całym kraju oznajmiały koniec wojny. Lodzia, uznawszy, że może bezpiecznie wrócić do domu, ruszyła w drogę z niemowlęciem na ręku. Trochę pieszo, trochę przygodną furmanką dotarła do kamienicy, która okazała się doszczętnie zrujnowana. Prócz kwilącego dziecka Leokadia nie miała już nic. Tułała się po ulicach zniszczonego miasta, aż ulitował się nad nią pewien stary piekarz i przygarnął do swojej chałupy. Mimo znacznej różnicy wieku, pobrali się i żyli spokojnie. Czy szczęśliwie? O tym podobno prababcia mówić nie chciała. Tymczasem dorastała jej córka, Irenka, czyli moja babcia. Po skończeniu szkoły została krawcową, poślubiła schorowanego gryzipiórka i w wieku dwudziestu czterech lat była już wdową. Nigdy więcej nie wyszła za mąż, a po stracie męża została sama jak palec, nie licząc kilkuletniej Dorotki, mojej matki.

– W naszej rodzinie kobiety nie miały szczęścia do mężczyzn – wzdychała mama. – Oby tobie się udało.

Żyłyśmy skromnie z jej nauczycielskiej pensji w wynajętej kawalerce na jednym z wrocławskich blokowisk, gdzie matka

przeniosła się z Lublina. Ze wspólnego pokoju wydzieliła mi kąt za regałem. Przyjmowałam tam koleżanki, dopóki nie zaczęłam się tego wstydzić. To wtedy przyrzekłam sobie, że moje życie będzie wyglądało inaczej. Zaoszczędzę pieniądze, za które kupię własne mieszkanie. Myślę, że ta sytuacja oraz nieustanny strach matki, żeby wystarczyło na czynsz, bo inaczej właściciel wyrzuci nas na ulicę, wpłynęły na moją, raczej introwertyczną naturę. Żeby pokonać tę nieśmiałość mama zacisnęła pasa i zapisała mnie do najlepszej szkoły tańca w mieście. Wybrała taniec, niespełnione własne marzenie, bo ja przecież też lubiłam podrygiwać przy muzyce, miałam poczucie rytmu i elastyczne, giętkie ciało. To tam właśnie poznałam Ernesta. Był dwa lata starszy, wyższy ode mnie o głowę i zafascynowany rytmem i muzyką. Ta pasja nie umknęła uwadze instruktora, który stworzył z nas mocny, taneczny duet i uparł się, byśmy nie mieli sobie równych. Od tej pory nasze drogi nigdy się nie rozeszły. Niewątpliwie była to zasługa nie tylko silnej przyjaźni, jaka nas łączyła, ale i wspólnej pasji do tej dziedziny sztuki. Mimo że po latach Erni studiował już na politechnice, a ja wybrałam, podobnie jak rodzice, filologię polską, nadal uczęszczaliśmy na zajęcia taneczne i braliśmy udział w lokalnych konkursach i ogólnopolskich turniejach. Zwykle przywoziliśmy z nich zwycięskie medale i puchary.

Teraz, gdy Erni imał się rozmaitych zajęć, szukając odpowiedniej pracy, a ja właśnie ukończyłam studia, czekały nas eliminacje, do których przygotowywaliśmy się od miesięcy. Wyłonienie reprezentacji Polski na Mistrzostwa Europy potraktowaliśmy bardzo poważnie. Erni nie mówił o tym głośno, lecz widziałam, jak bardzo zależy mu na udziale w tym konkursie. Finał miał odbyć się miesiąc później w Warszawie. A było o co walczyć. Zwycięzcy mogli liczyć na nagrody pieniężne o wartości kilkudziesięciu tysięcy złotych. Erni, trzymający się zasad, że nie tańczy dla splendoru ani korzyści materialnych, lecz dla własnej

satysfakcji, tym razem nie ukrywał, że ma gotowy plan. Zamierzał zainwestować w dobry sprzęt komputerowy i potrzebował na to gotówki. Ja natomiast pielęgnowałam marzenie o własnym mieszkaniu, do którego planowałam zabrać matkę, więc równie chętnie dołożyłabym trochę grosza do mizernych, póki co, oszczędności. Pracowaliśmy w pocie czoła, marząc o zwycięstwie.

W oczekiwaniu na Ernesta, stałam przy lustrzanej ścianie w sali ćwiczeń. Nie robiłam jak zwykle rozgrzewki. Przyglądałam się krytycznie swojej twarzy. Erni stwierdził kiedyś, że taki typ kobiety widywał w Paryżu, bo paryżanki lubią być sobą i potrafią podkreślić swoje atuty, chociaż nie nakładają tony makijażu. Ich styl jest oszczędny, trochę nonszalancki i w żadnym wypadku nie perfekcyjny, ponieważ nie lubią, gdy ktoś posądza je o jakiekolwiek wysiłek w trosce swoją aparycję. Zadziwiające, że to właśnie Erni był moim przyjacielem od zwierzeń i dobrych rad. Odkąd go poznałam, nie potrzebowałam przyjaciółki od serca. To on wysłuchiwał utyskiwań, dzielił ze mną radość, oceniał miłosne wybory. Nigdy mi nie schlebiał, a rozmowy z nim były szczere, choć czasem ranił boleśnie, wytykając błędy. Jego mama była fryzjerką, ojciec zaś miał mały warsztat samochodowy. Erni wychowywał się w otoczeniu dwóch, znacznie starszych od siebie, sióstr. Może właśnie dlatego nie stronił od uwag typu:

– Przy szczupłej twarzy nie powinnaś obwieszać się długimi strąkami, bo wyglądasz jak pietruszka – przekonywał. – Poza tym spod grzywki nie widać twoich zadziornych oczu. A szkoda, bo ładne.

Skrytykował mnie też za pomysł przefarbowania włosów na czarno, twierdząc, że powinnam zachować ich naturalny, kasztanowy kolor.

– Będziesz wyglądać jak kostucha przy swojej jasnej karnacji.

– Nie znasz się – broniłam swojego pomysłu, bo nosiłam się z tym zamiarem od co najmniej dwóch tygodni.

– Znam się, klocki układałem pod nogami fryzjerów – odgryzł się.

To on cierpliwie wyczekiwał w sklepie, gdzie wybierałam sukienkę na specjalną okazję, i bezlitośnie wytykał moje niedoskonałości. Dzięki niemu zaczęłam trzymać się prosto, zrzuciłam kilka nadprogramowych kilogramów i zmieniłam zwyczaj kupowania stosów taniej bielizny na rzecz jednej lub dwóch markowych sztuk. Nauczył mnie akceptować siebie i podkreślać ubiorem walory ciała, a także przywiązywać wagę do pozornego, niewymuszonego luzu. Nie byłam mu dłużna. Skrytykowałam próbę zapuszczenia zarostu, uważając, że szkoda byłoby zasłaniać dość subtelne, a zarazem prawdziwie męskie oblicze. Namówiłam go za to na pozostawienie dłuższych rudawych kędziorów, które zabawnie odgarniał, gdy zasłaniały jego trochę dzikie w wyrazie oczy. Te oczy były obiektem mojej zazdrości, choć on twierdził kokieteryjnie, że moje też są w porządku. To ja podsunęłam mu koleżankę ze studiów, Marysię, o której wiedziałam, że nigdy go nie zawiedzie. Byli szczęśliwą parą przez dwa lata, dopóki jej rodzice nie postanowili wyemigrować do Szwecji, a ona razem z nimi. Wyjechała i kontakt niespodziewanie się urwał. Erni bardzo to przeżył, a ja pocieszałam go, jak umiałam.

Ufaliśmy sobie z Ernim, bo przez kilkanaście lat znajomości i wspólnych tanecznych przeżyć, pokładana w sobie wzajemna wiara i lojalność nigdy nie zostały nadszarpnięte.

Drzwi wejściowe trzasnęły i już po chwili usłyszałam jego szybkie, energiczne kroki.

– Spóźniłem się? – zapytał zdyszany i zerknął na wielki ścienny zegar, wiszący na wprost wejścia.

– Zostały ci jeszcze dwie minuty – odparłam z wrodzoną skrupulatnością.

Wyjął z podręcznego plecaka butelkę wody mineralnej i zanim ją odkręcił, rzucił w moim kierunku.

– Trzymaj, po rozgrzewce zawsze cię suszy.

– Nie ćwiczyłam – przyznałam się. – Gapiłam się w lustro.

– Czasem trzeba – mruknął. – Czy ktoś jeszcze przyjdzie?

– Nie, dziś ćwiczymy sami.

– A Merapi?

Tą ksywką, będącą nazwą najbardziej aktywnych wulkanów Indonezji, nazwaliśmy dwa lata temu naszego instruktora po jego wybuchu złości, gdy zamiast na ostatnią przed występem próbę poszliśmy na piwo. Przezwisko przylgnęło do niego i tak już zostało, choć na co dzień instruktor był uosobieniem spokoju.

– Mówił, że może zajrzy na chwilę, chociaż raczej nie powinniśmy na to liczyć. Dzisiaj wypadło mu coś pilnego – wyjaśniłam.

– Aha, to w takim razie zaczynamy.

Włączył muzykę i wspólnie zrobiliśmy krótką rozgrzewkę, by po chwili przejść do tanga, które przygotowywaliśmy na konkurs. Nauka tego tańca wymagała od nas mnóstwa wysiłku i cierpliwości. Jak każde tango taniec miał specyficzny krok. Nic dziwnego, skoro jego geneza wywodzi się z zakurzonych bulwarów biednych dzielnic Montevideo i Buenos Aires, kiedy to mężczyźni przechadzali się tanecznym krokiem przy akompaniamencie ulicznych grajków.

– Pamiętaj, najpierw na mnie patrzysz – przypomniałam, gdyż wzrok partnera powinien być zaproszeniem do tańca. – Dopiero, gdy skrzyżują się nasze spojrzenia, możemy zaczynać.

– Wiem przecież – obruszył się.

– Ostatnio zapomniałeś.

– Nie zapomniałem. Zagapiłem się w twój dekolt – przyznał uczciwie.

Tango to dialog bez słów. Splątanie ciał i dusz.

– Ernest, odważnie! – wołał Merapi na treningach. – To ty decydujesz w tym tańcu. Alicja, nie bądź taka sztywna, wczuwaj się w kroki partnera, on dominuje, musisz się poddać!

Wracaliśmy zmęczeni i zgrzani, ale czuliśmy, że nic więcej nie możemy zrobić. Zbudzeni w środku nocy, zatańczylibyśmy perfekcyjnie.

Roxanne
Dlaczego moje serce płacze?
Możesz mnie zostawić, ale nie oszukuj mnie
I proszę, uwierz mi, kiedy mówię, że cię kocham

– nucił Erni w rytm kroków, gdy odprowadzał mnie do domu. Zawsze mnie eskortował, gdy aktualnie nie miałam u boku nikogo zakochanego.

– Co ty śpiewasz? – zdziwiłam się, bo nie posądzałam Erniego o takie romantyczne kawałki.

– To przekład tekstu naszego tanga. Nie mów, że nie poznajesz.

– Tak fałszujesz, że trudno się zorientować.

– Alicja… – zaczął ostrzegawczo.

Roześmiałam się i zaczęłam uciekać. Erni miał świetny słuch i nie gorszy głos, ale lubiłam się z nim drażnić.

– Czekaj, i tak cię dopadnę! – wołał, ruszając za mną.

Taki był Erni, którego kochałam jak brata.

Obserwowałam znad książki matkę, która zżymała się nad szkolnymi zeszytami uczniów. Miała zaledwie czterdzieści trzy lata, lecz w tej chwili jej twarz jak mapa, wskazywała wszystkie ścieżki, które przeszła. To wieczne staranie o naszą egzystencję nie było dla niej łatwym doświadczeniem.

– Dlaczego mi się przyglądasz? – zapytała, nie podnosząc głowy znad wypracowania.

– Skąd wiesz? – zdziwiłam się.

– Widzę kątem oka – wyjaśniła, odsunęła zeszyt i oparła się wygodniej o krzesło. – No więc dlaczego?

– Ładna jesteś…

– Ech, przestań!

– Ale zmęczona.

Zaniepokoiła się.

– Naprawdę? Uważasz, że moja twarz wygląda staro?

– Nic takiego nie powiedziałam. Masz piękną twarz, ale powinnaś trochę odpocząć. Ślęczysz nad tymi zeszytami od dwóch godzin. A przecież dzisiaj piątek, masz przed sobą cały weekend.

– To dla mnie żadna różnica. W weekendy też mam co robić. Zaległości z całego tygodnia czekają.

– Pomogę ci.

– Przecież masz próbę.

– Nie, ćwiczyliśmy dzisiaj, bo jutro Erni będzie zajęty.

– Co to znaczy zajęty? – uniosła się. – Jesteście tuż przed konkursem. Przez niego zawalicie występ.

– Nie przesadzaj, mamo.

– Nie przesadzam. Nie obchodzi mnie Ernest, ty mnie obchodzisz. Może powinnaś porozmawiać z trenerem, żeby zmienił ci partnera.

– Mamo, Erni jest moim przyjacielem! Co ty mówisz? – oburzyłam się.

– Przyjaźń? A jakie to ma znaczenie w osiąganiu sukcesów?

– Ogromne. Poza tym w tańcu jest lepszy ode mnie.

– No więc pracuj tak, żeby mu dorównać – wydęła usta.

– Staram się, mamo…

Znów to samo. Ucisk w żołądku i obawa, że nie sprostam jej oczekiwaniom. Zauważyła to.

– Wiem, że się starasz, kochanie – łagodziła. – Jednak nie włożyłaś całego wysiłku, skoro można robić to lepiej. Nie rozumiem, dlaczego miałabyś być gorsza od Ernesta.

– Nie wiem. Może dlatego, że on ma taniec we krwi i przychodzi mu to bez wysiłku.

Mama pokręciła głową.

– Ty też od dziecka pląsałaś, gdy tylko usłyszałaś muzykę. Nie jesteś gorsza, tylko może leniwa. Powinnaś więcej ćwiczyć – ucięła.

Westchnęłam i podniosłam się z fotela.

– Zrobię dla nas kolację, chcesz? – zapytałam, żeby przepędzić jej narastającą złość. Jeszcze chwila tej bezsensownej dyskusji, a obie będziemy miały zmarnowany wieczór.

– Dobry pomysł – mruknęła, nie odrywając się od pracy. – Ja tymczasem dokończę. Już niewiele mi zostało.

Zerknęłam na topniejący stosik zeszytów. W duchu współczułam jej uczniom. Mama nigdy nie była zadowolona z wyników.

Wyszłam do kuchni i otworzyłam lodówkę. Niewielki tu wybór. Kostka masła, kawałek sera, kilka jajek. Powinnyśmy się wybrać po zakupy, ale zaproponowanie tego matce wymagało odwagi. Od razu zacznie utyskiwać, że trzeba oszczędzać. Zajrzałam do szafki z zapasami. Ziała pustką. Po cichu wyszłam do przedpokoju, sięgnęłam po torebkę i przeliczyłam zasoby mojego portfela. Nie otrzymałam jeszcze wypłaty za korepetycje, więc niewiele tego było. Z pewnością jednak wystarczy na uatrakcyjnienie posiłku. Zbiegłam po schodach i już po chwili znalazłam się na ścieżce wiodącej przez trawnik do osiedlowego sklepiku. Właściciel, szpakowaty pan Wojtek z sumiastym wąsem, podniósł głowę na dźwięk dzwoneczka przy drzwiach. Lubiłam tu przychodzić, choćby dla tego uśmiechu, którym mnie zawsze obdarzał.

– A już chciałem zamykać – powiedział.

Zerknęłam na zegarek. Właśnie minęła dziewiętnasta.

– Och, rzeczywiście – zakłopotałam się.

– Nie szkodzi, co podać?

– Poproszę wędzoną makrelę i… – nerwowo rozejrzałam się po półkach – korniszony.

– To wszystko?

– I jeszcze majonez – dodałam, przeliczając w myślach pieniądze. – I ciemny chleb.

– Z ziarnami?

– Z ziarnami. I jeszcze ten kawałek sernika – postukałam palcem w gablotkę – i butelkę wina – rzuciłam odważnie, rezygnując z jutrzejszego wyjścia z koleżanką na kawę.

Zabrakło pięćdziesiąt groszy, ale pan Wojtek mrugnął okiem i rzekł pobłażliwie:

– Doliczę do kolejnego rachunku.

– Dziękuję – powiedziałam uszczęśliwiona i wybiegłam ze sklepu jak na skrzydłach.

Nucąc pod nosem, gotowałam jajka, siekałam cebulkę, pozbawiałam makrelę ości. Ustawiłam na tacy koszyk z chlebem, masło, pastę rybno-jajeczną, talerzyk z korniszonami. Na koniec przyniosłam sernik i wino. Zadowolona z siebie, nakryłam w pokoju stolik kawowy, bo tylko taki miałyśmy.

Mama oderwała się od ostatniego zeszytu i obrzuciła nakrycie surowym spojrzeniem.

– Cóż to za przyjęcie? – zapytała na tyle chłodno, że zgasiła cały mój zapał do robienia jej niespodzianek.

– Zwykła kolacja. Nic szczególnego, wszyscy tak jadają.

– Nie mędrkuj, nie jesteśmy wszyscy. Jak zaczniesz pracować i liczyć, żeby starczyło do pierwszego, zrozumiesz, że ciasto i wino bywają zbędne.

– Kupiłam za własne pieniądze, mamo – nadąsałam się.

– No właśnie – westchnęła. – Jak ci jakiś grosz wpadnie, od razu musisz go przehulać.

– Przekonasz się, że tak nie jest – odparłam butnie, myśląc o tym, jak zaskoczę ją kiedyś kupnem mieszkania. Muszę, muszę jej pokazać, że potrafię. Tym bardziej marzyłam o wygranej w turnieju, bo na razie moich oszczędności nie wystarczyłoby nawet na klamkę. Główna nagroda wynosiła pięćdziesiąt tysięcy.

Po podzieleniu na Erniego i na mnie, dostałabym dwadzieścia pięć, to niewiele, ale byłby jakiś początek i motywacja.

Mama zjadła kolację, ale wina i sernika nie tknęła, żeby dać mi nauczkę.

ROZDZIAŁ II

Następna para to my. Erni ściskał moją rękę tak mocno, że prawie syczałam z bólu. Merapi dawał nam ostatnie wskazówki i ocierał chusteczką pot z czoła. Z tłumu na widowni wyłaniała się twarz mojej matki i czerwona sukienka Aśki, nowej dziewczyny Erniego.

Para, która przed chwilą tańczyła, kłaniała się właśnie przy akompaniamencie braw. Podobała się, to niedobrze. Jurorzy też zadowoleni. To wszystko widziałam przez szparę kurtyny. Do moich uszu dobiegał głos konferansjera zapowiadającego nasz występ.

– Teraz – syknął Merapi i kopnął mnie w pośladek na szczęście. – Już!

Wymieniliśmy się z Ernim spojrzeniami i wyszliśmy na scenę. Nie słyszałam braw, które publiczność biła dla zachęty, nie widziałam nikogo, tylko twarz Erniego. Był równie podekscytowany jak ja. I nagle tango. Tango *Roxanne*. Miałam bardzo wysokie obcasy i już przy pierwszych krokach poczułam, jak śliska jest podłoga. Ogon z połyskliwej tkaniny uczepiony mojej krótkiej sukienki dziwnie mi przeszkadzał. U Erniego też chyba coś nie tak, bo spoglądał znacząco, jakby chciał mi o czymś powiedzieć. Na scenie było gorąco od reflektorów. Dopiero po kilkunastu pierwszych krokach poczuliśmy się pewniej. Żeby tylko Erni nie pomylił kroków, bo to on decydował o każdej fazie tańca, ja

musiałam wsłuchiwać się w jego oczekiwania i poddać się jego dominacji.

Burza braw. Nie chciało mi się wierzyć, że to już. Aśka wstała z miejsca i klaskała tak, jakby od tego zależało nasze zwycięstwo. Mama siedząca w trzecim rzędzie też klaskała, choć powściągliwie, obdarzając nas równie powściągliwym uśmiechem.

Jako jedna z trzech par przeszliśmy do finału. Cieszyliśmy się jak dzieci, chociaż jak się spodziewałam, z ust matki popłynęły nie gratulacje, a tysiące uwag, mimo że wcale nie znała się na tańcu.

Po występie Merapi zabrał Ernesta, mnie i Aśkę na lampkę wina. Mama wykręciła się jakąś robotą i wróciła do domu tramwajem. Usiedliśmy w zacisznym kąciku kawiarni. Rozejrzałam się po jej przytulnym wnętrzu, potem zerknęłam w okno, za którym dawno zapadł wrześniowy wieczór. Aśka, filigranowa brunetka z równiutko przyciętą nad czołem grzywką, rozprawiała na temat jednego z jurorów, którego obserwowała ze swojego miejsca.

– Po każdym pokazie fukał jak wściekła kotka – mówiła z przejęciem.

– A po naszym? – zapytał Erni, ściskając w dłoni jej drobniutkie palce.

– Nie wiem, nie zauważyłam – przekrzywiła kokieteryjnie głowę i zatrzepotała rzęsami.

Erni roześmiał się i pocałował ją w ucho.

Merapi chrząknął, po czym chyba zmył się po angielsku, bo wyszedł niby na chwilę i wcale nie wrócił. Pomyślałam, że ja również wcale nie jestem im potrzebna. Wypiję duszkiem wino i pójdę do domu.

Zakochani podawali sobie słowa z ust do ust, zapominając o moim istnieniu. Nie miałam im tego za złe. Pamiętałam jeszcze, jak smakują pierwsze uniesienia, spotykając się z Mateuszem, potem z Rafałem. Każdy z nich po pewnym czasie okazał się dla

mnie nieodpowiedni. Mateusz zbyt dziecinny, a Rafał za bardzo filozofował. Erni również miał za sobą pierwsze próby. Najbardziej zakochany był w Marysi, lecz to właśnie ona wyemigrowała na zawsze do Szwecji. Aśkę lubiłam, ale bez przesady. Bez makijażu, w sportowych butach, przypominała bardziej niedojrzałą dziewczynkę niż dwudziestoczteroletnią kobietę. Szybko dała się oswoić i teraz Erni czytał w jej duszy jak w otwartej księdze. Doskonale go znałam i wiedziałam, że długo tego nie wytrzyma. Lubił węszyć tajemnice. Fascynowało go przekonanie, że ktoś trzyma je w zanadrzu, niedostępne dla innych, i trzeba się napracować, by je odkryć.

Dopiłam wino, podziękowałam, i zasłaniając się zajęciami, pożegnałam Aśkę i Erniego. Skłamałabym, twierdząc, że się zmartwili. Erni poderwał się wprawdzie z miejsca, proponując, że mnie odprowadzą, ale wybiłam mu to z głowy.

– Dwa kroki stąd mam przystanek, nie fatygujcie się – zaprotestowałam.

Usiadł z wyrazem ulgi, ale i lekkiego niepokoju w oczach. Mrugnęłam i podniosłam do góry kciuk, co miało oznaczać, żeby się mną nie przejmował.

Wieczór był przyjemnie ciepły jak wtedy, gdy miałam zaledwie kilka lat, a mama otworzyła na oścież okno, bo zapach smażonych konfitur nie pozwalał swobodnie oddychać. Zajmowałyśmy wówczas maleńkie mansardowe mieszkanie w dzielnicy Nadodrze. Było znacznie tańsze niż obecne, ale według matki kłopot z uciążliwym sąsiedztwem i znaczna odległość od szkoły, do której dojeżdżała, kazały jej podjąć decyzję o wyprowadzce. Nie pamiętam, czy się cieszyłam. Na pewno często wracałam wspomnieniami do tamtej części miasta, gdzie zaraz po wojnie tworzył się polski Wrocław. Ze wschodu przybywały wagony z repatriantami, którzy osiedlali się w opuszczonych przez niemieckie rodziny domach i zapuszczali na Nadodrzu korzenie.

Najstarsi mieszkańcy opowiadali o złodziejstwie, morderstwach i bijatykach, których w tamtych czasach nie brakowało. Z okresu, gdy tam mieszkałam, zapamiętałam nasz budynek z czerwonej cegły i ponure podwórko, na którym nie wolno mi było bawić się z dzieciakami. Mama twierdziła, że są brudne i źle wychowane. W pamięci przechowałam również secesyjne kamienice, i podwórka, w których zaraz po wojnie rzemieślnicy zakładali swoje warsztaty, a sklepikarze otwierali małe sklepiki spożywcze. Wracając z matką z centrum miasta do domu, zawsze miałam wrażenie cofania się w czasie, gdy mijałam szyldy oferujące usługi szklarza, zegarmistrza, piekarza czy szewca. W podwórkach suszyło się rozwieszone na sznurkach pranie, a w oknach wietrzyły się puchowe poduchy. Czasem wychyleni do połowy mieszkańcy wdawali się w dyskusje z przechodniami. W tych latach czułam się naprawdę szczęśliwa. Mijane na schodach sąsiadki, którym mama niechętnie odpowiadała na powitania, zawsze miały dla mnie jeśli nie cukierka, wydobytego z kieszeni fartucha, to przynajmniej dobre słowo. A ja nie stroniłam od nich i, ku oburzeniu matki, machałam do nich przyjaźnie i demonstrowałam w uśmiechu dziury po wypadających mleczakach. Mama w stosunku do mnie zdawała się być łagodniejsza i bardziej tolerancyjna niż teraz. Miała też czas na smażenie konfitur, placków ziemniaczanych, które uwielbiałam, i naleśników z bardzo słodkim serem. Nie wiem, z czego wynika jej obecne zagonienie, tym bardziej, że przejęłam część spoczywających na niej obowiązków. Może ze ślęczenia przed komputerem, gdzie wyszukuje w Internecie dodatkowe materiały, które mogłyby pomóc w lekcjach? A może z wiekiem coraz wolniej wykonuje każdą czynność?

W zamyśleniu nie zauważyłam, kiedy minęłam najbliższy przystanek, potem następny. Machnęłam ręką i w efekcie dotarłam do domu pieszo.

Stojąc na progu, usłyszałam niewyraźne głosy dobiegające z mieszkania. Sądziłam, że mama rozmawia przez telefon. Jakże się zdziwiłam, ujrzawszy szpakowatego mężczyznę siedzącego na naszej wysłużonej kanapie i raczącego się czerwonym winem. Przypuszczalnie tym samym, które kupiłam kilka dni temu na kolację. Mama, zarumieniona po cebulki włosów, tkwiła naprzeciw niego w fotelu i usiłowała podtrzymać konwersację. Na mój widok odetchnęła, a mężczyzna, znacznie wyższy, niż sprawiał wrażenie, siedząc, podniósł się i lekko skłonił.

– To moja córka, Alicja – przedstawiła mnie matka. – A to mój szkolny kolega, Krzysztof.

– Bardzo mi miło – odezwałam się i wyciągnęłam do niego dłoń, nie do końca przekonana, czy on nie powinien zrobić tego pierwszy. Jeśli tak, mama mi tego nie wybaczy. Skłonił się kurtuazyjnie i szarmancko ucałował podaną dłoń.

Gdy oświadczyłam, że pójdę do swoich zajęć, Krzysztof uśmiechnął się uradowany, a matka jedynie zamrugała oczami. Zza regału, gdzie miałam swój tapczan i biurko, mimowolnie słyszałam każde słowo, z których wywnioskowałam, że moja konserwatywna rodzicielka wcale nie ślęczała nad przygotowaniem lekcji, tylko spędzała czas na czacie z tym jegomościem. Teraz zaś nie miała pojęcia, co z nim zrobić, bo Krzysztof pokonał kilkaset kilometrów, żeby ją odwiedzić. Z pewnością nie przypuszczał, że nasze mieszkanie jest tak małe, a jednocześnie nie kwapił się z zarezerwowaniem noclegu w hotelu. Byłam bardzo ciekawa, jak mama rozwiąże ten problem, oraz kolacji, ponieważ lodówka tradycyjnie świeciła pustkami.

Gawędzili jeszcze ze dwie godziny, więc miałam szansę dowiedzieć się, że uczyli się razem w liceum, Krzysztof cichaczem podkochiwał się w mojej matce, a teraz liże rany po stracie żony i szuka towarzystwa. Mama, jak zwykle powściągliwa, przebąkiwała coś na temat martwego narzeczonego, czyli mojego ojca.

Ani słowem nie zająknęła się o jego prawowitej małżonce, która póki żył, nie wiedziała o romansie męża i moim istnieniu. Uznając, że są w podobnej sytuacji, Krzysztof zaproponował wreszcie wyjście do restauracji, bo przecież takie spotkanie należy uczcić. W pierwszej chwili chciałam się wykręcić, lecz Krzysztof nalegał, a ja byłam głodna.

Mama wybrała Sukiennice i kultowy lokal *Pod Papugami* o niepowtarzalnej atmosferze. Zamówiła cielęcinę w kremowym sosie z kurkami, po czym zaczęła dyskretnie kopać mnie pod stołem, stukając wymownie palcem w kartę dań. Zrozumiałam, że mam zamówić coś równie wykwintnego i drogiego. Udając, że nie dostrzegam jej wysiłków, zdecydowałam się na stek z kalafiora, czym zyskałam sympatię Krzysztofa i jej irytację. Naprawdę w tym momencie pragnęłam, żeby to ona musiała zapłacić.

Nic takiego jednak się nie zdarzyło. Po kolacji Krzysztof dorzucił jeszcze hojnie deser lodowy w czekoladzie i, usatysfakcjonowany wdzięcznym spojrzeniem matki, dał sygnał do odwrotu. O hotelu jednak nie wspomniał i mama miała prawdziwy ambaras.

– Możesz położyć się ze mną – szepnęłam, odciągając ją na stronę. – A pan Krzysztof na twojej kanapie.

Ścisnęła moje ramię na znak zgody i natychmiast wybaczyła mi nieszczęsnego kalafiora.

Rankiem obie wstałyśmy obolałe, ale ta noc w jednym wąskim łóżku jakby zbliżyła nas do siebie. Przypomniałam sobie dzieciństwo, gdy przerażona ciemnością wtulałam się w jej rozgrzane snem ramiona, odganiające wszelkie upiory.

Krzysztof wypił mocną kawę i zastrzegając, że o tej porze nic więcej nie przełknie, zaczął zbierać się do wyjazdu. Słyszałam, że w przedpokoju długo o czymś szeptali, potem tylko trzaśnięcie drzwi i tyle go widziałam.

– Jak można tak zwalać się komuś na głowę bez zapowiedzi – utyskiwała nieszczerze mama, bo po jej minie widziałam, że jest zadowolona.

– Może przypadkiem przejeżdżał – zauważyłam przekornie.

– Przyjechał specjalnie, mówił przecież.

– Zagiął na ciebie parol – zażartowałam.

– Żebyś wiedziała – odparła kokieteryjnie, choć siliła się na powagę.

– Gdzie mieszka? – zainteresowałam się bardziej z uprzejmości niż z ciekawości. Czułam, że matka chciałaby o nim porozmawiać.

– Teraz w Gdańsku – odparła. – A wcześniej w Lublinie, jak ja. Przyjaźniliśmy się, ale kiedy wybieraliśmy studia, nasze drogi się rozeszły.

– I co dalej?

– Co masz na myśli?

– Zejdą się te drogi?

Matka zarumieniła się i umknęła wzrokiem.

– Nie wiem, może? Zaprosił mnie do siebie.

– Pojedziesz?

– Tak… Chyba tak. Kiedyś pojadę.

Zabrzmiało to tęsknie i tak jakoś nierealnie.

– Jesteś taka ładna, mamo – wyrwało mi się impulsywnie. Żadna z nas nie była skora do prawienia komplementów.

– Ech… Gadanie – mruknęła zażenowana. – Krzysztof chwalił się, że ma ładne mieszkanie w Gdańsku – dodała i spojrzała na mnie z dumą, jakby już brała je w posiadanie.

Uśmiechnęłam się. Wolałabym usłyszeć, że ma otwarte serce, głęboką duszę lub choćby poczucie humoru. Ale on miał mieszkanie, a matka uznała ten fakt za priorytet.

ROZDZIAŁ III

Merapi wiózł nas do Warszawy. Tym razem nie towarzyszyła mi matka, a Erni chwilowo rozstał się z Aśką. Mieliśmy tylko siebie i od czasu do czasu krzyżowały się nasze spojrzenia pełne tremy przed decydującym występem. Erni wzdychał co kilka kilometrów jak parowóz. Na pierwszy rzut oka było widać, że ma pietra. Ja zaklinałam w duchu dobre anioły, żeby miały nas w swojej opiece.

– Boże, jeszcze godzina jazdy – biadoliłam. – Żebyśmy tylko nie byli czwartą parą. Czwórka przynosi nieszczęście.

– No, no, mam dwie czwórki w rejestracji samochodu – wtrącił ze śmiechem Merapi.

– Chyba chodzi ci o trzynastkę? – zauważył Erni, gapiąc się w okno.

– O czwórkę też. Najbardziej pechowa z liczb w Chinach, Japonii, Wietnamie, Korei, Malezji i Singapurze – wyliczałam, przymknąwszy oczy, żeby o żadnym z tych państw nie zapomnieć.

– U nas obowiązuje trzynastka – upierał się.

– I co z tego? Skąd mogę wiedzieć, czy ta cholerna czwórka nie ma zdolności przekraczania granic? Wymowa „shi" brzmi identycznie jak słowo „śmierć". Na Dalekim Wschodzie w hotelach nie ma czwartego piętra, a ty beztrosko godzisz się, żeby być czwartą parą.

– Popukaj się – klepnął się znacząco w czoło. – Z niczym się przecież nie godzę.

– Sam się popukaj. Czwórka to pech.

– Cicho, dzieciaki – upomniał nas Merapi, zerkając we wsteczne lusterko. Uparcie nazywał nas dzieciakami, chociaż oboje znacznie przekroczyliśmy dwudziestkę. Erni był nawet na półmetku do trzeciego krzyżyka. – Macie stracha?

– Ze mną w porządku, Alicja trzęsie się jak galareta – odparł Erni i spojrzał na mnie kpiąco.

– Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni – burknęłam.

– No już, nie kłóćcie się – mitygował Merapi. – Będzie dobrze, jesteście znakomicie przygotowani.

– Upiję się, jak nie wygramy – odgrażał się Erni.

– A jak wygramy?

– To też się upiję – zaśmiał się i nerwowo zerknął na zegarek.

W tym momencie rozległ się pisk opon, krzyk Merapiego, przeciągły dźwięk klaksonu i głośny huk. Autem szarpnęło tak, że mimo zapiętych pasów, uderzyłam głową w boczną szybę. Erni zaklął szpetnie i całym ciężarem ciała spoczął na mnie. Wbiłam paznokcie w tapicerkę, czując jak samochód obraca się i staje tyłem do kierunku, w którym zmierzaliśmy. Przez ułamek sekundy mignęło zbliżające się, rozpędzone auto.

– Jezu! – krzyknęłam i zacisnęłam powieki.

Nie wiem, co działo się dalej. Słyszałam tylko zbliżający się, ryczący klakson i modliłam się o lekką śmierć. Ponownego uderzenia jednak nie było. Otworzyłam oczy. Merapi tkwił nieruchomo, wbity w sąsiedni fotel. Widziałam tylko jego przechylone mocno plecy, ale sądząc po nienaturalnie wygiętej sylwetce i wgniecionych bocznych drzwiach, mogłam sobie wyobrazić jego stan. Nie potrafiłam ocenić, jak to się stało, że jakieś auto wbiło się w przedni bok naszego samochodu. Erni wciąż spoczywał na mnie. Na szczęście oddychał i to szybko, jak po długodystansowym biegu.

– Chryste – jęknął, gdy się poruszyłam. – Wykrakałaś tą cholerną czwórką.

– Żyjesz? – zapytałam bez sensu, bo nieboszczyk nie wydałby z siebie głosu.

– Tak – odparł przytomnie.

– Możesz się ruszać?

– Chyba tak.

– Świetnie. Zabierz swoje cielsko.

Dźwignął się i natychmiast poczułam ulgę. Tymczasem wokół naszego auta zbiegli się ludzie. Odkręciłam szybę, przez którą wsunęła się podłysiała głowa.

– W porządku? – zapytał mężczyzna, lustrując wnętrze samochodu. – Co z nim? – wskazał na Merapiego.

Erni pokręcił tylko głową, a ja z racji zajmowanego między nimi miejsca przerzucałam nerwowe spojrzenie z jednego na drugiego.

Ktoś stojący za mężczyzną, z telefonem przy uchu, informował, że właśnie wzywa pogotowie. Ktoś inny szarpał drzwi od strony kierowcy. Zakleszczone nawet nie drgnęły.

Światła. Dużo świateł. Migające, niebieskie i czerwone. Przeciągłe sygnały nadjeżdżających ratowników. Karetka, straż… Policjanci przybyli pierwsi. Robili zdjęcia, pytali, chcieli wiedzieć. My też chcieliśmy wiedzieć, co z Merapim. Wydobyli go ostrożnie, wsunęli na noszach do karetki jak do szuflady i odjechali na sygnale do Łodzi. Podobno nasz samochód oberwał przez przypadek, gdy tragedia rozgrywała się na sąsiednim pasie.

Przebadani, obmacani i przepytani, staliśmy bezradnie nad wrakiem samochodu Merapiego i obserwowaliśmy działania służb, które znały się na takich sprawach. Trzeba sprzątnąć zawalidrogę, więc musimy zabrać z auta swoje rzeczy. Co zabrać? Moją konkursową suknię? Strój Erniego? Po co? Nie będzie żadnego konkursu. Dla nas nie będzie.

– Mogę was podrzucić do Warszawy, jadę tam – zaproponował mężczyzna, który był przygodnym świadkiem zdarzenia.

Zgodziliśmy się, chociaż równie dobrze mogliśmy pojechać z policjantami do Łodzi, a stamtąd wrócić do domu.

Z nutką niepokoju zajmowaliśmy miejsca w samochodzie. Wrażenia z wypadku jeszcze w nas buzowały jak gasnący wulkan. Obolali na duchu i trochę na ciele, w milczeniu obserwowaliśmy przemykające za oknami krajobrazy.

Po co właściwie jedziemy do tej Warszawy – myślałam. – Z konkursu i tak nic nie będzie. Chociaż Merapi pewnie chciałby, żebyśmy wystąpili, tak bardzo liczył na nasze zwycięstwo. Ciekawe, co z nim? Ratownicy twierdzili, że za wcześnie na udzielanie informacji.

Erni chyba miał podobne myśli. W pewnym momencie wyciągnął rękę, ścisnął mocno moją dłoń.

– Cholera, Alicja… Nie tak miało być – szepnął.

Otarłam oczy wierzchem dłoni i udawałam, że żadnych łez nie było. – To przez te czwórki na rejestracji – myślałam.

– Przeżyliśmy, nic nam nie jest, dziękujmy za to – rzekłam głośno, patrząc mu w oczy. – Teraz najważniejszy jest Merapi.

Erni pokiwał głową i znów zagapił się w okno.

Kierowca wysadził nas w okolicy Dworca Centralnego. Przez pewien czas snuliśmy się bez ładu i składu po modernistycznej dumie lat siedemdziesiątych, traciliśmy orientację w systemie przejść podziemnych, prześlizgiwaliśmy wzrokiem po marmurowych ścianach, ławkach i kolumnach w holu głównym i mimowolnie zbliżaliśmy się do kas. Lecz gdy stanęliśmy na końcu wijącego się ogona, Erni złapał mnie za rękę i bez jednego słowa wybiegliśmy na zewnątrz. Nie zważając na mżawkę i zapadający zmierzch, kluczyliśmy po nieznanych ulicach stolicy, czasem podjeżdżaliśmy przystanek, dwa, tramwajem lub autobusem w kierunkach, które nie miały dla nas żadnego znaczenia.

Intuicyjnie żadne z nas nie chciało wracać do Wrocławia bez Merapiego. Nie rozmawialiśmy o tym, ale oboje bardzo martwiliśmy się o niego.

– Może zadzwonić do szpitala, jak myślisz? – Erni zatrzymał się nagle, wyjął komórkę i zawiesił nad nią palec, którym zamierzał wybrać numer. – Ale do którego? – zawahał się. – Gdzie go zawieźli?

– Nie wiem. Nie powiedzieli – odparłam bezradnie.

– Bo nie zapytaliśmy – zdenerwował się. – Mogliśmy zapytać! Tam jest pewnie ze dwadzieścia szpitali.

– Nie denerwuj się. Na pewno zawiadomili jego żonę. Możemy zadzwonić do niej, mam numer.

– No nie wiem… I o co zapytasz? W którym szpitalu leży jej mąż? A jeśli jej jeszcze nie zawiadomili? Chcesz być posłańcem od złych wieści? W starożytnej Grecji takich zabijano.

– Możemy dzwonić do wszystkich szpitali po kolei, w końcu trafimy.

– Głupi pomysł… – rozejrzał się i dodał: – Zjadłbym coś.

– Cały ty – mruknęłam, krytykując w duchu jego małoduszność. Merapi gdzieś tam cierpi, może umiera, a ten myśli o jedzeniu.

– Trudno – rozłożył ręce. – I tak w niczym nie pomożemy, a żołądek dopomina się swego. Chodźmy do knajpy, a potem…

– Na dworzec.

– Nie, poszukamy jakiegoś noclegu.

– Zwariowałeś? Nie możemy wrócić do domu?

– Wracaj, jeśli chcesz. Ja zostaję. Muszę się z tego wszystkiego otrząsnąć. A w domu zaraz będą pytać: A co? A jak? A dlaczego? Nie chce mi się o tym gadać, trzeba ochłonąć..

Ja też nie miałam ochoty opowiadać matce, co się stało. Znając ją, będzie miała pretensje, że skoro udało nam się przeżyć, powinniśmy zatańczyć. Bez względu na to, co stało się z Merapim.

Taka już była. Najważniejsza kariera, potem człowiek. Skoro po konkursie i tak mielimy wracać dopiero następnego dnia, postanowiłam zostać z Ernim.

– W porządku, ja też nie pojadę – zdecydowałam.

Uśmiechnął się półgębkiem, potem zaciągnął mnie do pizzerii. Podczas posiłku wyszukaliśmy w Internecie niedrogie miejsce noclegowe, odległe o jakieś dziewięćset metrów od centrum. Mieliśmy szczęście, bo właśnie ktoś z niego zrezygnował. Kilka minut po dwudziestej opuściliśmy lokal i ruszyliśmy w kierunku Chmielnej. Mżawka zmieniła się w deszcz, mimo to szliśmy pieszo. Światła sunących powolnym wężem aut odbijały się iskrząco w mokrym asfalcie. Rozświetlone okna mijanych budynków przywodziły na myśl ciepły blask lampy, miękki fotel i puszysty koc. Zatęskniłam za domem, chociaż tam do dyspozycji miałam tylko wydzielony kąt odgrodzony regałem.

– To chyba tutaj – wdarł się w moją zadumę głos Erniego, który przystanął przed bramą jednej z szeregu kamienic.

Trzeba było zadzwonić po właścicielkę, która zjawiła się po kwadransie, wprowadziła nas do apartamentu i przekazała klucz. Na kilkanaście godzin staliśmy się właścicielami garsoniery, urządzonej typowo pod krótkoterminowy wynajem. Mała łazienka z prysznicem i aneks kuchenny wygospodarowany z pokoju, gdzie królowało małżeńskie łoże w towarzystwie dwóch stolików nocnych i dwudrzwiowej szafy.

– Masz z tym problem? – zapytał Erni, wskazując podwójne łóżko.

Miałam, ale nie przyznałam się do tego.

– Nie, skąd. Jest wystarczająco szerokie, żebyśmy sobie nie przeszkadzali – odparłam pewnym siebie głosem.

– No i dobrze – mruknął, rzucając torbę na podłogę po prawej stronie łóżka. Potem podszedł do okna i z wysokości trzeciego piętra lustrował ulicę.

W tym czasie sprawdziłam miękkość łóżka i zawartość kuchennych szafek. Do dyspozycji mieliśmy rozpuszczalną kawę, kilka saszetek czarnej herbaty oraz cukier.

– Chcesz herbaty? – zapytałam, wlewając wodę do czajnika.

Skrzywił się.

– Właśnie pomyślałem, że wyskoczę po coś mocniejszego. Na chandrę. Wypijesz ze mną?

– Wino?

– Myślałem o jakiejś wódce. Wolisz wino?

– Tak.

– To kupię wino.

Kiedy wkładał buty, zadzwonił mój telefon. Zerknęłam na wyświetlacz.

– Mama – jęknęłam.

– No to co? – zdziwił się. – Odbierz.

Łatwo mówić: odbierz. On nie zna mojej matki, która z igły robi widły, jest dociekliwa i przeważnie niezadowolona. Cóż dopiero, gdy nie mam dla niej dobrych wiadomości. Przewróciłam oczami, ale posłuchałam go.

– Tak, mamo?

– No i dlaczego się nie odzywasz? Źle poszło? – zapytała bez zbędnych wstępów.

Trzasnęły drzwi, Erni wyszedł.

– Wcale nie poszło. Nie tańczyliśmy.

– Co takiego?! – podniosła głos. – A to dlaczego?

– W drodze do Warszawy mieliśmy wypadek – wyjaśniłam ostrożnie.

Milczenie.

– Halo…

– No słucham, słucham. Jaki wypadek?

– Mnie i Erniemu nic się nie stało, ale Merapi…

– Mów po ludzku – odezwała się.

– Przecież mówię po ludzku.

– To nie nazywaj pana Więcka tym małpim imieniem. Co mu się stało?

– Nie wiemy. Zabrali go do szpitala w Łodzi, był nieprzytomny.

– Groźny wypadek?

– Tak. Na sąsiednim pasie zderzyły się dwa auta, myśmy dostali rykoszetem. Właściwie Merap… Więcek dostał, bo jeden z samochodów z dużą siłą uderzył w jego drzwi. Cały bok z przodu zgnieciony. Mera… Więcka wbiło w sąsiedni fotel, ratownicy go pozbierali, ale nic jeszcze nie wiedzieli.

– Dobrze, że ty i Ernest jesteście cali – przerwała mi. – Zabrakło wam czasu, żeby jakoś dojechać do Warszawy?

– Jesteśmy w Warszawie, mamo.

– Ach, więc nie jesteście w Łodzi.

– Nie.

– I co? Nie zdążyliście na konkurs?

– Zdążylibyśmy.

– No więc?

– Mamo…

– Co: mamo?

– Nie chcieliśmy tańczyć – wyznałam odważnie. Najchętniej teraz wyłączyłabym telefon.

– Tyle prób, poświęconego czasu, wysiłku. Wszystko na nic – biadoliła.

– Nie mieliśmy do tego nastroju – brnęłam, choć żołądek kurczył mi się z nerwów. Od dzieciństwa bałam się matki. Jej emocje bywały bardzo nierówne i nigdy nie wiedziałam, z czym wyskoczy. – Dziwisz się?

– Nie, nie dziwię się. Ale nastroje trzeba czasem schować do kieszeni. Nie pomyśleliście, że Więckowi zależało na waszym udziale w tym turnieju?

– Myśleliśmy. Ale bardziej o nim samym niż o turnieju.

– Sentymenty – parsknęła. – O nim niech myślą lekarze, co mu po waszym zmartwieniu? A gdzie jesteście teraz? Rozumiem, że wrócicie jakimś nocnym pociągiem. Mam nadzieję, że Ernest dostarczy cię bezpiecznie do domu z dworca. O której przyjedziecie? Masz klucz? Wiesz, że na noc zamykam drzwi.

Zalew słów. Pytania, informacje, polecenia przesypały się przez słuchawkę jak szeleszczący, suchy piasek. Przełknęłam nerwowo ślinę.

– Nie wracamy. Przenocujemy w Warszawie.

– Jak to, przenocujecie? Gdzie?

Powiedzieć prawdę? Zaraz usłyszę tysiące uwag. Skłamać?

– Wynajęliśmy pokój.

– Razem? Jeden pokój?

Lata wychowania, ingerencji we wszystko, co robię, mówię, a nawet o czym myślę sprawiły, że odpowiedź przyszła z trudem:

– Jestem dorosła, sama podejmuję decyzje.

– Sugerujesz, że przesadzam? – nastroszyła się.

Spotniała mi ręka. Przełożyłam słuchawkę do drugiej, a tę wytarłam o spodnie.

– Nie wiem… – bąknęłam. – Masz chyba kosmate myśli.

– A jakie mam mieć, gdy ty i on zamierzacie spędzić razem noc?

– Jesteśmy przyjaciółmi. Wszystko, o czym myślisz, jest wykluczone, choćby dlatego, że Erni ma dziewczynę. Zresztą, po co się tłumaczę? To jest wyłącznie moja sprawa.

– O, nie, kochana. Nie twoja, dopóki mieszkasz pod moim dachem.

– Mamo, dążysz do tego, żeby się ze mną pokłócić?

– Nie, to nie ja do tego dążę. To ty zrobiłaś się bardzo zuchwała.

– Nie jestem zuchwała. Próbuję ci wytłumaczyć, że nie potrzebuję niańki.

– Ach, nie potrzebujesz. Wobec tego…

Nie dosłyszałam, bo znów trzasnęły drzwi. Wrócił Erni.

– Porozmawiamy w domu, mamo. Dobrze?

Rozłączyła się bez pożegnania. Doskonale wiedziała, co zrobić, by zatruć mi wieczór.

– Leje jak z cebra – oświadczył zdyszany Erni, chociaż sama widziałam, że z jego włosów kapie woda, a pod butami tworzy się kałuża. – Kupiłem półsłodkie. Zdecydowałem sam, bo nie zapytałem cię, jakie lubisz. I mam paluszki na zagrychę. Może wybrałbym coś innego, ale w sklepie stały jakieś moczymordy i szukały zaczepki. Wolałem szybko się zmyć… Coś taka markotna?

– E, nic. Rozmowy z moją mamą bywają trudne.

– Z rodzicielkami tak jest, nie przejmuj się. Chociaż moja wykazuje się ogromem tolerancji i cierpliwości – rzekł i uśmiechnął się sprytnie, jakby chciał dać mi do zrozumienia, że w domu jest niezłym gagatkiem.

– Wytrzyj się – zmieniłam temat i rzuciłam mu ręcznik przyniesiony z łazienki. – Ja przetrę kieliszki.

Nagle nabrałam ochoty na to wino i na pogawędkę w gniazdku uwitym z wełnianego koca. Erni napełnił kieliszki, zapalił małą nocną lampkę i usadowił się tuż koło mnie, opierając się o miękką poduszkę. W surowym pokoju zrobiło się ciepło i przytulnie. Uświadomiłam sobie, że to nie za sprawą gry świateł ani mieniącego się w kieliszkach wina, tylko dlatego, że obok siedział Erni.

– Użycz trochę tego koca, zmarzły mi stopy – powiedział.

Użyczyłam. Mościł się tak, że omal nie wytrącił mi kieliszka z ręki.

– I co tam mama? – zapytał.

– Pytała, jak nam poszło, a potem wściekła się, że nie tańczyliśmy.

– Chwilami sam żałuję – przyznał. – Ale gdybyśmy tańczyli, pewnie prześladowałby mnie moralny kac. Merapi w szpitalu, a my na parkiecie. Jakoś mi to nie pasowało.